



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: „QUO VADIS” W FILMIE

Sienkiewicz tworzył jedno ze swoich najsztywniejszych dzieł, „Quo vadis”, w latach 1894-1896. Miał za sobą wówczas niezbyt udaną, sięgającą do współczesnej polskiej problematyki, „Rodzinę Połanieckich”, a w perspektywie - „Krzyżaków”, książkę, która mogła być w pełni przeżyta i zrozumiana tylko przez jego rodaków. „Quo Vadis”, powieść osadzona w Rzymie czasów Nerona, w okresie prześladowań wyznawców rozrastającej się dynamicznie i konsolidującej się religii chrześcijańskiej, była dziełem uniwersalnym, zrozumiałym dla każdego cywilizowanego człowieka z kręgu kultury śródziemnomorskiej. Swoją popularność na całym świecie zawdzięczała zarówno kunsztowi pisarskiemu twórcy, jak i nośności tematu; nie dziwnego, że w roku 1905 otrzymał Sienkiewicz za „Quo Vadis” literacką Nagrodę Nobla.

Miała także „Quo Vadis” - jak zresztą nie pierwsza i nie ostatnia książka Henryka Sienkiewicza - dodatkowe, nie zawsze uchwytny dla współczesnych, walor: sposób obrazowania, metoda narracji, były wprost wymarzone dla filmu. Po latach Karol Irzykowski, rozważając na kartach „X Muzy” znaczenie i rolę fragmentu w dziele filmowym, powoływał się na spostrzeżenia Lucjana Rydla, który „pisząc o »Quo Vadis« Sienkiewicza, analizował malarskie walory tej powieści i podniósł szczególnie opis walki Ursusa z turem: jak nogi pracującego Ursusa z wysiłku zaryły się w piasek. Dziś by się to nazywało: momentem iście fotogenicznym”.

Pierwsza ekranizacja prozy Sienkiewicza nastąpiła w 1901 r. Film zatytułowany „Quo Vadis?” liczył pełnych... pięć minut! Ale gdy w jedenaście lat później powstał następny film pod tym tytułem, nakręcony przez znanego włoskiego reżysera Enrico Guazzoniego, było to już dzieło filmowe wysokich lotów, stawiające m.in. na malarskość i widowiskowość z iście sienkiewiczowskim rozmachem. Nawiasem mówiąc, Guazzoni był nie tylko reżyserem, ale i malarzem. Film odniósł olbrzymi sukces w Europie i Stanach Zjednoczonych. W Londynie na premierę w gigantycznym Albert Hall przybył król Jerzy V, na widowni zasiadły tysiące osób. Producenci zarobili miliony, Sienkiewicz nie dostał ani grosza, bo nie znano wówczas takich rzeczy jak prawo autorskie.

Jedną z najbardziej znanych późniejszych realizacji filmowych „Quo Vadis” był obraz nakręcony (znów we Włoszech) w 1925 r. z udziałem wybitnego niemieckiego aktora Emila Janningsa w roli Nerona. W latach kina dźwiękowego światową widownię zdobyła „superprodukcja” amerykańska: „Quo Vadis?” w reżyserii Marvyna LeRoy, z udziałem wielkich gwiazd filmowych, jak Deborah Kerr (Ligia) i Robert Taylor (Winicjusz).

Obecnie oglądamy na małym ekranie sześcioczęściowy włoski serial telewizyjny „Quo Vadis?”, nakręcony przez Franco Rossiego. Ta ostatnia ekranizacja mniej stawia na widowiskowość, a bardziej na ukazanie prawdy o ówczesnych ludziach, na warstwę psychologiczną i obyczajową, a także na przemiany społeczne, jakie niosło ze sobą rozprzestrzeniające się coraz silniej w starożytnym Rzymie, przyniesione tutaj zza morza chrześcijaństwo. W roli Nerona występuje Klaus-Maria Brandauer, Ligią jest Marie-Thérèse Relin, a Winicjuszem - Francesco Quinn (nawiasem mówiąc, ta para filmowych amantów, to córka znanej aktorki Marii Scheli i syn wybitnego aktora Anthony Quinna).

W roku 1951 LeRoy stawiał głównie na widowiskowość; na gigantyczne dekoracje, na sceny „mrozzące krew w żyłach”, na „gwiazdy” i tysiące statystów. Jak wiele ówczesnych amerykańskich „gigantów”, kręcono „Quo Vadis?” w olbrzymich halach zdjęciowych rzymskiego „Cinecitta” - to się Amerykanom najlepiej kalkulowało finansowo, no i byli „bliżej antyku”. LeRoy był reżyserem doświadczonym i wszechstronnym - przynajmniej z ówczesnego hollywoodzkiego punktu widzenia. Równie łatwo kręciło mu się wojenne melodramaty w rodzaju „Pożegnany walc” (1940) czy „Zagubionych dni” (1942), jak filmy biograficzne („Curie-Skłodowska” z Greer Garson w roli tytułowej; 1944) lub takie jak „Małe kobietki” (1949) z Lis Taylor. Dlaczego więc nie miano by mu powierzyć również historycznej superprodukcji z życia pierwszych chrześcijan?

Wśród wielonarodowej obsady znalazł się wówczas także znany angielski aktor Peter Ustinov, któremu powierzono rolę Nerona. W napisanych wiele lat później wspomnieniach Ustinov tak oto - zresztą nie bez wielkiej dozy złośliwości - opisuje swoje doświadczenia na planie „Quo Vadis?”:

„Zapytałem [LeRoya - przyp. MD], czy nie zechciałby dać mi jakichś wskazówek (na temat interpretacji roli)”. „Nero? To świnia!” - wykrzyknął. Przyznałem mu rację. „Czy pan wie, co zrobił ze swoją matką?” - podskoczył nagle. [...] Powiedziałem, że chciałbym wiedzieć. „Co za świnia” - powtórzył Marvyn ze złością. Skinąłem głową. Na razie byliśmy zgodni. „Czy istnieją jednak jakieś cechy charakteru tego człowieka, na które powinienem zwrócić szczególną uwagę?” - zapytałem. [...] „Nero - powiedział Marvyn - [...] Tak jak ja go sobie wyobrażam...” - „Tak?”... „Nero to ktoś, kto się onanizuje w nocy”. Wówczas uważałem to za zupełnie absurdałne stwierdzenie, ale trochę później nie byłem już taki

pewien. To było jedno z tych spostrzeżeń czerpanych z codziennego życia, dzięki któremu doszedłem w końcu do wniosku, że żaden naród nie potrafi robić tak dobrze filmów na temat antyku jak Amerykanie”.

Antyk, przedstawiony na sposób amerykański czy raczej hollywoodzki, mógł drażnić jeszcze bardziej niż Ustinova - Włochów. Neorealizm włoski święcił wówczas triumfy, a filmy De Santisa, Rosselliniego, Viscontiego, przynosiły chlubę włoskiej kinematografii. I wtedy to (także w 1951 r.) w opuszczonych już przez Amerykanów gigantycznych dekoracjach do „Quo Vadis?”, z którymi nie bardzo wiadomo było, co począć, włoski reżyser Mario Soldati nakręcił film, który miał być satyrą na tak zwany „amerykański styl życia”, na Amerykanów i na ich sposób przedstawiania historii na ekranie. Film nosił tytuł „O. K. Neron!”. Bawiono się na nim doskonale. Także w Polsce, wyświetlany w latach 1956-1957, miał ogromne powodzenie. „O. K. Neron!” Nie był parodią „Quo Vadis?”. Jego fabuła, choć osadzona, w tym samym czasie co Sienkiewiczowska czy raczej LeRoyowska opowieść, przebiegała jakby równoległe do wydarzeń; w jakie zaplątani byli Ligia, Winicjusz, Petroniusz. No i była to komedia, a nie dramat historyczny.

W „O.K. Neron!” dwaj amerykańscy marynarze włoskiego pochodzenia, Jimmy i Fiorello, podczas zwiedzania Rzymu zostają ogłuszeni w ruinach Colosseum przez jakichś rzeźmieszków i doszczętnie obrabowani. „Budzą się” w czasach antycznych, w Rzymie władanym przez Nerona. Ścigani przez legionistów, którzy biorą ich za chrześcijan (ze względu na dziwaczny strój!), przebierają się za gladiatorów. Potem, prześladowani przez samego Nerona, który uważa ich za członków spisku gladiatorów, udają... afrykańskie niewolnice. Niestety, zostają kupieni, jako czarne piękności, na dwór Nerona, który w czasie orgii odkrywa ich tajemnicę i skazuje – jako gladiatorów - na śmiertelną walkę na cyrkowej arenie. Jednak nasi Amerykanie zamieniają szybko arenę w stadion i przy ogromnym aplauzie widowni rozgrywają na niej... mecz rugby. Udobruchawszy cezara, zostają przywróceni do łask, a następnie uczą patrycjuszki oraz rzymskie piękności tańczyć sambę oraz boogie-wrogię. Wreszcie wnoszą ku rozrywce rzymskiej gawiedzi, gigantyczny „Luna Parcus”...

Nerona grał w „O. K. Neron!” znany włoski aktor charakterystyczny Gino Cervi, Poppeą była piękna Silvana Pampanini, zaś postaci Jimmy'ego i Fiorello kreowali Walter Chiari i Carlo Campanini. Muzykę do filmu skomponował (oczywiście: w stylu amerykańskim!) Mario Nascimbene, a wykonywał ją słynny „New Orleans Jazz Band”. Sambę i boogie-wrogię prezentował z ogromną ekspresją, zaproszony z Francji, Paryski Balet Egzystencjalistyczny. Muzyka i taniec w tym filmie były naprawdę wspaniałe.

I w tym właśnie miejscu pora na refleksję: film był zabawny, satyryczny, „demaskatorski”; ale dla mojego pokolenia, młodzieży zamieszkałej w połowie lat

pięćdziesiątych w kraju nad Wisłą, pełnił przede wszystkim rolę filmu „instruktażowego”! Chodziło się wiele razy z rzędu na „O. K. Neron!” nie tylko, żeby się śmiać z amerykańskich filmowców i „amerykańskiego stylu życia”, ale żeby zgłębić tajniki boogie-wrogie oraz rock-and-rolla...

Tak to już jest w sztuce, że nie zawsze przesłanie artysty znajduje ten najwłaściwszy, zamierzony i oczekiwany przez niego, oddźwięk u odbiorcy.

Podobnie jak z „Lotną” Andrzeja Wajdy: ktoś mi opowiadał, że ten tak bardzo w Polsce krytykowany i wzbudzający u nas tyle namiętnych dyskusji na temat bohaterstwa i „bohaterszczyzny” film spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem w... Argentynie. Argentyńczycy, bowiem kochają konie. A konie i kawaleryjskie szarże były w „Lotnej” pokazane znakomicie! Cała reszta była już dla mieszkańców tego odległego kraju mało istotna.

Pierwodruk: „Kamena”, 1987, nr 8, s. 6-7.